



# JAK BRONIĆ POLSKIEGO DZIEDZICTWA?



## ROZMOWA Z JAKUBEM KUMOCHEM

Panie Ambasadorko, na wstępie proszę przyjąć serdeczne gratulacje w związku z wyróżnieniem przyznany Panu przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za „ochronę dziedzictwa kulturowego za granicą”. Rozmawiamy kilka godzin po uroczystości wręczenia Panu tej nagrody. Jest Pan przedstawicielem polskiego rządu w Konfederacji Szwajcarskiej, doświadczonym analitykiem. Jak rozumie Pan pojęcie „ochrona polskiego dziedzictwa kulturowego za granicą” w XXI w.?

Dziękuję za gratulacje, ale one należą się moim współpracownikom i całemu gronu ludzi zaangażowanych w nasze działania. Wracając do Pańskiego pytania: dziedzictwo kulturowe dzieli się na materialne i niematerialne. W relacjach międzynarodowych do ochrony zabytków materialnych związanych z historią Polski i Polaków zasadniczo zobowiązane są państwa, na których terytorium takie obiekty się znajdują, tym bardziej że są one tak samo częścią naszego dziedzictwa, jak

i dziedzictwa danego państwa. Na przykład w Szwajcarii są trzy wielkie muzea związane z polską historią, a dwa z nich, Muzeum Kościuszki w Solurze i Muzeum Polskie w Rapperswilu, mają status zabytków i objęte są szczególną ochroną władz szwajcarskich. W ochronie dziedzictwa materialnego spotykają się więc interesy Polski i Szwajcarii.

O tym, że polski zamek, pomnik, cmentarz, tablica za granicą powinny być otoczone opieką polskich instytucji, wie każdy, kto obserwuje wzruszenie polskich turystów spotykających podczas swoich zagranicznych peregrynacji pamiątki polskiej kultury. Stosunkowo łatwo jest uzasadnić potrzebę publicznego finansowania polityki zmierzającej do ich ochrony. Ale dziedzictwo niematerialne jest pojęciem dla wielu obywateli abstrakcyjnym.

Dziedzictwo niematerialne jest bardzo szeroką kategorią. Obejmuje m.in. ochronę zwyczajów, idei, a nawet tradycji kulinarnych. Tego

już musimy bronić sami. Nikt nam w tym nie pomoże, a czasem inne państwa mogą mieć interes w tym, aby blokować nasze działania. Premier Piotr Gliński, wręczając mi tę zaszczytną nagrodę, powiedział, że to „przede wszystkim za odkrycie grupy Ładosia”. I tu budzi się we mnie analityk. Powstaje bowiem ciekawe pytanie, czy wiedza o grupie polskich dyplomatów, którzy podczas II wojny światowej napisali jeden z najpiękniejszych rozdziałów w historii polsko-żydowskiej, to element naszego dziedzictwa kulturowego? Osobiście uważam, że tak, bo wiedza na ten temat pozwala państwu polskiemu na budowę pewnego wzorca zachowania dla pokoleń Polek i Polaków. To element naszej obecnej i przyszłej kultury, a więc także polskości, którą pragniemy promować i upowszechniać. Promocja i upowszechnianie we własnym społeczeństwie oraz za granicą wzorów postępowania definiujących współczesną i przyszłą polskość jest zadaniem polityki państwa, którą w pewnym zakresie prowadzą także jego przedstawiciele za granicą.

Mówi Pan o aspekcie polityki państwa, który bardzo często umyka naszej uwadze. Z punktu widzenia interesów Polski nie jest obojętne, jakie myślenie o świecie będzie dominowało w przyszłości. Promując w świecie wzorce postępowania zgodne z polskim interesem,

**kształtuje ona własną koniunkturę. Czy ma znaczenie to, że są to wzorce związane z historią Polski i jej dziedzictwem?**

Polska przez pół wieku była odgródzona od Europy Zachodniej żelazną kurtyną – i to wtedy, gdy rozpoczął się proces integracji. Wcześniej, w XIX w., gdy kształtowały się wspólczesne fundamenty europejskiej tożsamości, Polska nie istniała na mapie Europy. Dlatego historia Polski była i jest nieobecna w świadomości wielu Europejczyków. Stąd łatwo spotkać w Europie Zachodniej neokolonialny stereotyp, że Polska nie jest współwłaścicielem czy udziałowcem Europy, ale korzysta z niej niejako „z łaski” innych państw europejskich, więc powinna im się podporządkowywać. Tymczasem wkład Polski w historię Europy jest znaczący. Wśród państw umownego „Zachodu” są narody o wiele młodsze i o znacznie mniejszym wpływie na historię Starego Kontynentu.

**Zgadzamy się, że państwo powinno prowadzić politykę zmierzającą do upowszechnienia wiedzy o własnej przeszłości. Jako analityk spraw międzynarodowych nie mam wątpliwości, że to jest sfera aktywności państwa wpływająca bezpośrednio na skuteczność polityki zagranicznej, zdolność do realizowania narodowych interesów. W końcu przysłowie mówi, że jak**

cię widzą, tak cię piszą – ale też na odwrót: jak o tobie piszą, tak cię widzą, rozumieją, szanują. Jak jest rola ambasadora w prowadzeniu polityki państwa w tym obszarze?

Pod określeniem „ambasador” kryje się parę wzajemnie uzupełniających się pojęć. Ambasador to szef urzędu państwowego, to pierwszy punkt kontaktowy pozwalający państwu utrzymywać relacje, ale to również pewnego rodzaju narrator, historyograf, który tworzy obraz swojego kraju w państwie przyjmującym. Proszę zwrócić uwagę, jak często patrzymy na państwo właśnie przez pryzmat jego ambasadorów. Najczęściej tworzą oni pewne wyobrażenie o swoim kraju. To ambasador decyduje, o czym opowiadać i jak opowiadać. Bez niego nie ma jasnego przekazu. Zwróciłem kiedyś uwagę, że kraje reprezentowane na poziomie niższym niż ambasadorski często mają bardzo ograniczony przekaz. Zaś co do historii... Paradoksalnie, choć mówimy o patrzeniu w przód, większość relacji między państwami i narodami ma charakter retrospektywny. Wszyscy przerabiamy historię. Historia wyzwała emocje, a ludzie żyją emocjami.

No właśnie. Pańska aktywność w promowaniu spektakularnej na skalę światową, masowej operacji ratowania europejskich Żydów, podjętej podczas II wojny światowej przez Pana poprzednika posła

Aleksandra Ładosia i jego współpracowników, jest uważana za jedną z najbardziej skutecznych polskich kampanii dyplomacji publicznej ostatnich lat. Mieszka Pan w rezydencji, z której korzystał poseł Ładoś, a także wszyscy jego następcy. Można powiedzieć, że Pana poprzednicy spali w tych samych murach... i wśród tej samej historii. Co sprawiło, że to Pan uznał tę historię za ważną część polskiego dziedzictwa kulturowego?

To nie ja wybrałem tę historię. To szwajcarscy Żydzi przychodzili i mówili mi o niej. I moment, w którym jeden z nich powiedział, że moja rezydencja to dla pobożnego Żyda święte miejsce, był przełomowy. Otworzył mi oczy na to, że to właśnie jest „dziedzictwo kulturowe”. Jak by Pan inaczej ocenił posiadanie budynku, które w oczach pewnej wspólnoty, nawet jej niewielkiej części, ma charakter sakralny? Pozostało tylko sprawdzić, czy historia, którą Żydzi sami znali mgliście, jest prawdziwa. Czy nie ma w niej drugiego dna.

Mówiąc wprost, chodziło o to, czy Ładoś nie zamienił polskiej ambasady w prywatne przedsięwzięcie biznesowe i nie handlował sfałszowanymi paszportami w celach zarobkowych?

Gdyby tak było – choć z góry zakładałem, że taki scenariusz niegodny polskiego dyplomaty nie jest możliwy



– historia grupy Ładosia utraciłaby walor wzorca postępowania nadającego się do promocji i upowszechniania, zarówno w Polsce, jak i w świecie. Dlatego postanowiliśmy, że przejrzymy każdy dokument. Ładoś jest poza podejrzeniami, ale rzetelność zmusiła nas do zbadania archiwum po archiwum. I im bardziej szukaliśmy – a w pewnym momencie współpracowaliśmy ze znakomitymi dziennikarzami z DGP – Zbigniewem Parafianowiczem i Michałem Potockim – tym bardziej widać było, że odsłania się przed nami nieznan świat. To było jak wykopaliska archeologiczne. Odsłanialiśmy tę historię, przekopując się przez tajemnicę, zapomnienie, niewiedzę, warstwa po warstwie.

**O akcji fałszowania paszportów w Bernie pisali dotychczas historycy, ale to działania polskiej dyplomacji, Pana ambasadora i Pańskich współpracowników, nie historyków, doprowadziły do ujawnienia nowych źródeł i wprowadzenia tej historii do świadomości społecznej. W jaki sposób dyplomacja publiczna powinna układać relacje z zawodowymi historykami? Dyplomaci powinni ich mobilizować? Finansować ich badania? Czy z nimi polemizować?**

Z zawodowymi historykami jest pewien problem. Oni muszą z czegoś żyć.

**No tak – zgodzę się, że to jest pewien kłopot...**

Najczęściej każdy z nich właśnie pracuje nad jakimś projektem. Zrozumiałem to, gdy odwiedził mnie lord Ashdown, były lider Liberalnych Demokratów i historyk zajmujący się ideą separatystycznego pokoju między Wielką Brytanią i III Rzeszą. Chciał rozmawiać o Halinie Szymańskiej i Szczęsnym Chojnackim, brytyjskich agentach umiejscowionych w polskim poselstwie, którym kierował Ładoś. Opowiedziałem mu o akcji paszportowej. Uznał to za fascynującą opowieść. Okazało się jednak, że nie może mi podpowiedzieć, kto mógłby zająć się jej przebadaniem i napisaniem na ten temat książki, bo większość znanych mu historyków jest zajęta na lata. Natomiast dziennikarz całe swoje zawodowe życie zajmuje się poszukiwaniem tematów. Historyk zazwyczaj ich nie szuka, on jest nimi dosłownie zavalony i na większość brakuje mu po prostu czasu. Dlatego jeśli ktoś mówi, że jakaś historia to „roboty dla historyków”, a nie na przykład dyplomatów, to jest to wymówka. Tysiące historii czeka na swoich historyków, a większość z nich nigdy się na nich nie doczeka. Tymczasem interes państwa, jego obywateli, honor państwa i pamięć o bohaterach czekać nie mogą.

**Jest Pan byłym dziennikarzem. Można powiedzieć, że byli dzienni-**



**karze znacznie lepiej niż dyplomaci bez takiego doświadczenia pracują z mediami. Jak powinniśmy szkolić dyptomatów, aby podnieść ich skuteczność we współpracy z mediami? Co należałoby zmienić?**

Jestem byłym dziennikarzem i jest to dla mnie bardzo ważne. Ważne, że dziennikarzem, i ważne, że byłym. Dziennikarstwo to sztuka niemożliwego. Piętnaście minut do deadline'u, nikt nie podnosi słuchawki, tekst ma być oddany i choć nic się nie udaje, to ten tekst będzie oddany. To nie jest zawód, który potrafiłbym wykonywać całe życie, ale to zawód, który nauczył mnie dyscypliny. Dyplomacja to też sztuka niemożliwego. Rada dla dyplomaty zawsze jest ta sama: „zrób tak, żeby było zrobione” (śmiech). Dyptomatom zawsze

mówię, aby nie bali się mediów, aby zrozumieli, że po stronie mediów jest człowiek, który walczy o napisanie kolejnego tekstu. Pomóż mu w tym, jednocześnie wiernie dbając o interes służby i państwa. Masz dla niego fascynującą historię o polskich dyptomatach? Daj mu ją. Zawrzyjcie porozumienie. Wbrew obiegowym opiniom profesjonalny dziennikarz zawsze dotrzymuje słowa danego rozmówcy. Z tego żyje. Tak buduje swoją reputację. Współpraca z dziennikarzem jest korzystna dla was obu. Poza tym w obu zawodach trzeba mieć fantazję.

**Polska potrzebuje dyptomatów z fantazją?**

Polska potrzebuje i ma wielu dyptomatów rozumiejących współczesny

świat. I mających świadomość, że w tym współczesnym świecie mamy do czynienia z bardzo ostrą konkurencją. Zła wiadomość o Polsce sprzedaje się łatwo, ale sprzedawanie dobrej wiadomości o Polsce wymaga większej pracy, podania w formie na tyle atrakcyjnej, aby mogła zostać zauważona wśród wszystkich złych i dobrych wiadomości ze świata. Trzeba pokazać, że Polska jest w porządku. I to czynem, nie słowem. Jak ambasador Marzenna Adamczyk w Hiszpanii i jej fenomenalny występ w talk-show. Trzeba mieć wielką odwagę, by to zrobić, ale sukces wizerunkowy jest wielki.

**Udział w takich programach to jednak zawsze jest ryzyko. Potrafię wskazać kilka takich, do których lepiej nie przyjmować zaproszeń.**

Ryzyko zawsze trzeba porównać z potencjalnymi korzyściami. Podany przeze mnie przykład udowadnia, że warto takie ryzyko podejmować. Mam też inny – polski ambasador w Izraelu Marek Magierowski i jego filmiki, w których z gracją, z dystansem podchodzi i do Izraelczyków, i do Polaków. Jednym z najbardziej spektakularnych pomysłów był ten z tezą, że wymyśliliśmy najbardziej ekstrawaganckie fryzury – istotnie nie zwróciłem uwagi na podobieństwo między Paderewskim i Ben Gurionem. Można oczywiście zamiast tego topornie powtarzać: „Nie

jest prawdą, jakoby w Polsce ograniczono wolność mediów” albo „Nie jest prawdą, jakoby w Polsce był antysemityzm”. Ale w ten sposób działa dyplomacja postsowiecka. Kto zwróci na to uwagę w świecie ostrej konkurencji newsów? A kiedy ludzie widzą polską ambasador, jak rozbiła całą pulę w talk-show, i polskiego ambasadora, który daje się lubić i ma poczucie humoru, od razu czują, że to niemożliwe, by Polska była złym krajem. Trzeba znać granice, ale oboje je znają – są znakomitymi dyplomatami.

**Problem polega na tym, że każde społeczeństwo wyznacza własne granice. Nie da się więc sformułować uniwersalnej instrukcji – chodzić do talk-show, robić filmiki...**

Decyzję należy pozostawić ambasadorom. Ich zadaniem jest promocja Polski. Rozliczajmy ich ze skuteczności, a nie z metod. Ja też obawiałem się o to, jak zostanie odebrana moja aktywność sportowa i bieganie w górskich maratonach. Stwierdziłem jednak, że ambasador biegający maratony, ze zdjęciami w spodniach biegowych, raczej pokazuje nowoczesny kraj bez kompleksów. Podkreślam jednak: chodzi o Szwajcarię, gdzie minister z plecaczkiem jedzie do pracy pociągiem, gdzie góry to duma i gdzie z każdym sąsiadem jest się od razu po imieniu. Być może w innym kraju uznałbym, że zostanie

to odebrane źle. Podobnie ambasador Magierowski zażartował z fryzury Ben Guriona i wiem, że izraelscy dziennikarze go za to uwielbiają. Na pewno jednak przyjąłby inną strategię, gdyby był ambasadorem w Turcji. Fantazja jest też potrzebna w mediach społecznościowych. Od razu widać, który tweet jest z przekonania, a który z musu.

**Kilka lat temu we wszystkich urządzeniach spraw zagranicznych na świecie toczyła się dyskusja o użyteczności mediów społecznościowych dla prowadzenia polityki zagranicznej. Dziś ta dyskusja jest już rozstrzygnięta. Prezydent Stanów Zjednoczonych komunikuje się ze swoimi wyborcami bezpośrednio, poprzez Twittera, podobnie jak większość ministrów spraw zagranicznych i ambasadorów. Pan ambasador jest na Twitterze bardzo aktywny. Jak korzystać z tego instrumentu w prowadzeniu polityki zagranicznej?**

Zawsze zadałbym to samo pytanie: po co tweetujesz? Żeby pokazać, że żyjesz, czy żeby osiągnąć cel? Jaki cel? Zdefiniuj go! Chcesz dotrzeć do mediów? To błagam, otaguj media. Zamieść sugestywne zdjęcie, a pod zdjęciem możesz oznaczyć do 10 osób. Oznacz liderów opinii w twoim kraju, oznacz agencję prasową, telewizję informacyjną. Pokaż im, że chcesz im sprzedać temat. Co najmniej parę

artykułów o Ładosiu w izraelskich i niemieckich mediach powstało jako rezultat tweetu. Twitter to media dla tych, którzy nie mają mediów. Korzystajmy z tego. Podobne zastrzeżenie dotyczy Facebooka. Przed przejściem do dyplomacji pracowałem jako ekspert ds. mediów w Misjach Obserwacji Wyborów Unii Europejskiej. Każda misja ma swojego rzecznika, sam nim raz byłem. Nie ma możliwości, by nie korzystała z mediów społecznościowych. Jest to narzędzie jej działania, a nie smutny obowiązek do wykonania przed pójściem do domu.

**Ale komunikacja z mediami to jednak tylko jeden z aspektów „twitterowej dyplomacji”. Jakie ma ona znaczenie w komunikacji politycznej z rządem państwa przyjmującego?**

Olbrzymią. Tweety się czyta. Rząd państwa przyjmującego też to robi. A więc można do niego dotrzeć z przekazem, na który może być trudno znaleźć czas podczas rutynowej komunikacji. W mediach społecznościowych można ukształtować potrzebny dyplomacie kontekst wzajemnych stosunków. Zwłaszcza w odniesieniu do państwa, którego rządowi mainstreamowe media, umownie rzecz biorąc, nie sprzyjają. Albo w sytuacjach konfliktowych, gdzie trzeba odwołać się bezpośrednio do opinii publicznej. Zresztą co tu dużo mówić... Bez Twittera nie przebilibyśmy



się z grupą Ładosia. To nie jest tak, że CNN, „Guardian” i „Haarec” stały w kolejce po ten temat. Twitter i Facebook pozwalają na korygowanie negatywnego przekazu o Polsce. A ten jest bardzo często pełen braków warsztatowych. Na przykład teksty zniechęcające do obecnej Polski mają jedną wspólną cechę – nie udziela się w nich głosu obu stronom sporu. Ja uważam, że z takimi zachowaniami należy walczyć jak w Serie A: padać na murawę i domagać się karnego (śmiech).

**Rozumiem, że nawiązuje Pan do swoich sporów z „Neue Zürcher Zeitung”, która dwukrotnie odmawiała Panu prawa do polemiki po artykułach atakujących Polskę za Holokaust.**

Nawiązuję do sytuacji, którą wszyscy widzieli. Nie uważam, że takie sprawy należy zamiatać pod dywan. Gazeta, która konsekwentnie odmawia napisania choćby kawałka tekstu o grupie Ładosia, o Chaimie Eissie, pochodzącym przecież z Zurychu, która nie przychodzi na żadne imprezy poświęcone pamięci polskich i szwajcarskich członków grupy, która często i to nawet mimochodem okazuje wyższość wobec Polski (i reszty – jak to ujmuje – „Europy Wschodniej”), nie może liczyć ze strony polskiego ambasadora na politykę uśmiechów. Dyplomata to nie jest człowiek od

udawania, że wszystko jest w porządku, gdy nie jest.

**Czasami pańskie tweety wychodzą poza Szwajcarię. Podjął Pan kiedyś polemikę z prof. Janem Grabowskim dotyczącą liczby 200 000 Żydów zamordowanych – jak on twierdzi – przez Polaków. Robił to Pan jako ambasador czy badacz? Jest Pan w stanie rozdzielić te dwie role?**

Tak zwana liczba Grabowskiego, czyli przypisywanie Polakom winy za śmierć 200 000 osób, jest efektem przeinaczenia materiału źródłowego w połączeniu z błędem w obliczeniach. Liczba ta pojawiała się w mediach, w tym szwajcarskich. Mając narzędzia do przeciwstawienia się jej, miałem obowiązek to uczynić. Gdybym zasłaniał się zdaniem „prof. Grabowski nie działa w Szwajcarii, więc nie mam mandatu”, nie wypełniłbym należycie swojej roli. A jako badacz mam inny powód – po prostu nie lubię manipulacji danymi. Zwłaszcza w takiej sprawie jak Zagłada. Cieszę się, że dzięki tej naszej debacie i późniejszym działaniom polskiej dyplomacji dziennik „Jerusalem Post” przyznał w lutym tego roku, że 200 000 to *hoax*.

**Tu dochodzimy do bardzo ciekawego problemu. Media społecznościowe mają zasięg globalny. Nieważne, czy tweetuje amerykański**

ambasador w Wiedniu, czy rzecznik Departamentu Stanu – obie wiadomości na Twitterze zawierają przekaz o polityce Stanów Zjednoczonych i bardzo trudno zdefiniować ich terytorialny zasięg. Tymczasem mandat każdego z tych urzędników jest określony terytorialnie lub funkcjonalnie. Jak sobie z tym radzić?

Wraz z rozwojem mediów społecznościowych granice państw zasadniczo przestają istnieć. Warto jednak mieć zawsze w tyle głowy, że jest się ambasadorem w Szwajcarii i że komentarze powinny mieć związek ze Szwajcarią. On jednak może być bardzo luźny, niekiedy subiektywny. Kiedyś skrytykowałem np. wypowiedź

prezydenta Francji na temat polskiego rządu, który – jego zdaniem – okłamuje swoich wyborców. Po co to zrobiłem? Żeby przekazać informację do mediów francuskojęzycznych w Szwajcarii: jak napiszecie o słowach Emmanuela Macrona, to weźcie też cytaty z polskiego ambasadora w waszym kraju, który mówi, że Francja właśnie rujnuje swoją politykę wschodnią na lata. Zacytujcie go i pokażcie, że Polska kategorycznie odrzuca protekcjonalizm pod swoim adresem. A potem zobaczyłem, że mam kilkaset podań i wiele komentarzy. Z Francji. Przepraszających za jej własnego prezydenta. Wpisał się też lider Republikanów, mówiąc, że moja obrona Polski jest „uzasadniona”.



Podkreślam jednak, że zarówno stanowisko w sprawie wypowiedzi prezydenta Francji, jak i w sprawie 200 000 jest zgodne ze stanowiskiem państwa. Państwo Polskie sprzeciwia się mówieniu, że jego demokratycznie wybrany rząd „okłamuje” wyborców, i nieuzasadnionemu twierdzeniu, że Polacy w czasie Holokaustu byli ludobójcami. Podobnie Polska mówi, że jej gospodarka się pręźnie rozwija i że jest zwolenniczką prymatu prawa międzynarodowego. Teraz w ramach tych przesłań ambasador ma swobodę wyboru sposobu ich transmisji.

**Przykład francuski jest bardzo ciekawy – gdzie postawić granicę? Jaki zakres swobody pozostawiać dyplomatom na Twitterze? Trudno sobie przecież wyobrazić uzgadnianie tweetów z Centralą... Burze medialne w mediach społecznościowych trwają przecież często kilkanaście minut, ale ich konsekwencje mogą oddziaływać przez lata, zaś zasada „lepiej późno niż wcale” brzmi w tym przypadku komicznie.**

Przede wszystkim ambasador RP musi mieć swobodę, bo to przecież on zna państwo przyjmujące. Centrala z kolei jest często znakomitym wsparciem. Natomiast sterowanie

ambasadorami osłabiłoby nasz potencjał. Ambasador ma w pełnej nazwie „pełnomocny”. Z czegoś to słowo wynika. Granica? Mogę mówić o swoim kraju. Szwajcaria jest bardzo specyficzna choćby z tego powodu, że tweetujemy po francusku, włosku, niemiecku i angielsku, każdy z nich to język całego wielkiego obszaru. Słowo napisane po niemiecku czy francusku nie ma znaczenia „Made in Switzerland” i rozchodzi się po całym obszarze językowym. Zresztą i tak w sprawach żydowskich – a te z racji tego, że Ambasada jest miejscem pamięci, zajmują dużo miejsca – tweetuję głównie po angielsku. Sprawa Ładosia i jego dyplomatów nie jest bowiem wyłącznie częścią stosunków polsko-szwajcarskich, ale częścią historii ludzkości. O tym sterowaniu to też ciekawe. Często mnie pytają, czy sprawa Ładosia była sterowana przez centralę. Oczywiście że nie, choć ze strony ministerstwa doświadczyłem wsparcia, pomocy i co najważniejsze – zaufania. Myślę, że nie zawiodłem. Jestem natomiast przekonany, że gdybym okazał się nieudacznikiem twitterowym, Centrala miałaby prawo poprosić mnie o wstrzemięźliwość. Myślę, że to zdrowy układ.

Rozmawiał Sławomir Dębski